

MARIUSZ SYKUT

OPOWIADANIA

Spis treści:

Nakarmić rybkę	3
Człowiek i korona	6
I człowiek zniknął	8
Właściciel lombardu	11
Feralny tydzień	14
Mój instruktor	17
Geny dla moich dzieci	20
Noe i reszta	22
Drugie podejście do życia Genowefa F.	25
Ekspedycja	29
Tajemnice nocnego spaceru	31
Od początku	35

NAKARMIC RYBKĘ

To nie była żarłoczna rybka. Nie wyróżniały jej także: szczególne ubarwienie, kształt czy wielkość. Nie, nic z tych rzeczy. Miała za to bardzo oryginalną technikę przeżycia. Musiała ją mieć, właśnie po to aby żyć.

W okazałym akwarium pływało może ze dwadzieścia ryb. Zdecydowana większość była dużo potężniejszych rozmiarów od niej, ale było też kilka mniejszych.

Kiedyś było ich dużo więcej. I nie było to wcale tak dawno. Do momentu, kiedy rybka pływała w wodach rzeki, dotąd żywiła się roślinnością. Jednak od chwili, gdy schwytał ją człowiek, zmieniła swoje roślinne menu i stała się mięsożerna. A ściślej rzecz ujmując, z wielką żarłocznością zjadała swoje mniejsze współtowarzyszki niedoli.

Przyznaję, robiła to sporadycznie i nie pożerała ich do końca. No, ale cóż to za pociecha dla jej przyszłych ofiar? Świadomość, że umrą nie zjedzone do końca.

Na tym właśnie polegała technika rybki. Ona przecież też chciała żyć. Kiedy większe rybki grupowały się w stado, wtedy ona już wiedziała, że czyhają na jej małe, niewinne życie. Stado podążało jej śladem, a kiedy zatrzymywała się, stado zamierało w bezruchu jakby wstrzymywało oddech. Jeśli w ogóle w przypadku ryb można powiedzieć o powstrzymaniu oddechu.

Rybka wiedziała, że to ostatni moment aby uratować życie. I wtedy, kiedy za pierwszym razem wyczuła intencję wrogów zdarzyło się coś, co stało się chyba za sprawą, a nawet na pewno za sprawą instynktu samozachowawczego, a co odwróciło koleje losu rybki.

Tamtego dnia kiedy wrogowie zbliżyli się do niej, ona w przypiływie strachu, rozpaczliwie rzuciła się na mniejszą od siebie rybkę i kilkoma gwałtownymi ruchami szczęk rozszarpała niewinne ciało na kilka strzępów.

A potem stopniowo i mozolnie połykała pływający kawałek ofiary. Krztusiła się przy tym co wyglądało jak gdyby próbowała wypluć, a nie połknąć swoją rozkawałkowaną ofiarę.

Tak, to krztuszenie miało w sobie coś ze skruchy.

Wtem jedna z dużych ryb ze stada jednym kłapnięciem szeroko rozwartego pyska połknęła drugą z części martwej rybki. To był sygnał dla pozostałych, że oto nadszedł czas uczty.

Z niezwykłą zawziętością rzucały się na kawałki pływającego ciała i tocząc między sobą zawziętą walkę, pożerały zwłoki. Ich żarłoczność była dużo większa od tej, którą posiadała rybka.

Tak nauczyła się przedłużać swoje życie. Lecz nie mogło to trwać nieskończenie. Rybek bowiem wciąż ubywało i obecnie nie było ich więcej niż kilka. Może pięć.

Kiedy więc podzieliła jeszcze mniejszą od siebie rybkę na części, mogła spokojnie odpłynąć i cieszyć się każdą chwilą podarowaną jej przez los, a może bardziej przez swój spryt i kulinarnożołądkowy koniunkturalizm.

Na jakiś czas stado zaprzestawało polowań na nią.

Człowiek, który złowił ją kiedyś w odległym, egzotycznym kraju, żył teraz w okazałym domu. Wydawał się typowym samotnikiem. Nikt nie znał ani jego przeszłości, ani jego samego. Ostatnią osobą, która z nim rozmawiała był policjant. Ów funkcjonariusz zawitał do samotnika pewnej jesiennej, deszczowej nocy. Był przemoczony i przejęty. Jak się miało okazać wkrótce, to było jego pierwsze śledztwo dotyczące morderstwa.

Człowiek uśmiechnął się nieznacznie słysząc te słowa. To jeszcze bardziej zdeprymowało policjanta.

Człowiek spytał w czym może być pomocny i jeszcze to, że za jednym wypadkiem przyjdą inne. Wszystko to napawało policjanta strachem i chęcią jak najszybciej ucieczki z tego wielkiego, pustego domu. Pytania policjanta dotyczyły okoliczności mogących ustalić tożsamość zbrodniarza grasującego w pobliskich lasach.

Człowiek na wstępie przyznał, że słyszał strzały w lesie lecz nie reagował. Zupełnie go to nie interesowało. I to było wszystko, co miał do powiedzenia policjantowi na temat ubiegłej nocy. Kiedy funkcjonariusz opuszczał dom Człowiek powiedział mu aby pamiętał o jego rybce.

Na zdziwione spojrzenie policjanta dodał- Musi pan kupować jak najmniejsze rybki, tak aby mogła sobie bez trudu z nimi poradzić, to znaczy rozszarpać je. Tak skończyła się ta wizyta.

Policjanta utwierdziło to w przekonaniu, że ma do czynienia z osobą niepoctą.

Człowiek, zamykając za gościem drzwi, uśmiechnął się.

Tak samo jak uczynił to na początku.

Jakiś czas potem morderca powrócił w te okolice. Jego następną ofiarą był właśnie ów człowiek. Nikt pewnie nie dowiedziałby się o jego śmierci, gdyby nie przypadkowe wejście do domu dwojga zabłąkanych turystów.

To oni powiadomili policję.

Jakież było ich zdumienie gdy ujrzeli dziwny, okrutny spektakl. Jedna rybka pożerała najmniejszą, ostatnią z małych rybek pływających w przestronnym akwarium. Po czym odpłynęła spokojnie w drugą stronę. Przybyły na miejsce zbrodni policjant był tym samym, który zawitał tutaj w sprawie poprzedniego morderstwa popełnionego w lesie. Ku zdziwieniu turystów przybył sam, jeśli nie liczyć foliowego woreczka wypełnionego wodą, w której pływały całkiem małe rybki.

Natychmiast wpuścił je do wody i rzekł do siebie- W samą porę. Potem usiadł w fotelu i wydawało się, że słucha nerwowych opowieści turystów o znalezieniu zwłok. To były jednak pozory. Policjant nie słuchał ich lecz z prawdziwą rozkoszą wpatrywał się w rybkę pływającą w akwarium.

Dokładnie tak jak czynił to Człowiek, zanim został zabity.

CZŁOWIEK I KORONA

Był królem. Nie duszą towarzystwa, ale właśnie królem. Każdy, kto się z nim zetknął, na zawsze pozostawał jego poddanym. I godzili się na to ochoczo, bo było to szczególne poddaństwo. Król nie żądał, a nawet nie oczekiwał niczego w zamian za dobrą radę i żart, które były tak potrzebne i pomocne.

Kiedy przychodził, wszyscy otaczali go i witali radośnie. A później opowiadali o swych zmartwieniach, rzadziej radościach. Martwił się razem z nimi i cieszył się razem z nimi. Lecz pewnego dnia stało się coś takiego, co zburzyło ten porządek. Oto pewnego dnia królowi spadła korona.

Jak zwykle był otoczony kręgiem swych stroskanych poddanych, pocieszał ich, mówił i mówił i właśnie wtedy spadła mu korona. Z zębów.

Wszystkim odsłonił się straszny widok. W rzędzie górnych, królewskich zębów była ogromna dziura, przerwa, przepotężna diastema.

Brakowało dwóch siekaczy i jednego kła.

Wszyscy zamilkli.

Tamtego dnia przestał być królem. Nikt już o nim nie rozmawiał, a on sam przepadł bez wieści.

I CZŁOWIEK ZNIKNAŁ

Pan Henryk otworzył oczy. Chwilę wpatrywał się w sufit, po czym wsunął rękę pod kołdrę i przesunął dłoń po prześcieradle. Było jeszcze ciepło.

-Wstała dziesięć, no może trzynaście minut temu- pomyślał o swojej żonie, która według jego obliczeń powinna być teraz pod prysznicem. Pod gorącym prysznicem, który tak uwielbia. Nie słyszę jednak szumu wody dochodzącego z łazienki. Spojrzał na zegarek stojący przy łóżku. Wskazywał jedenaście minut po godzinie siódmej.

Pan Henryk ucieszył się, że zmieścił się w wąskiej bądź co bądź granicy trzech minut. Dlaczego nie słyszę wody?- zadowolenie odeszło, a jego miejsce zastąpił przenikliwy, biologiczny lęk.

Odrzucił kołdrę i pobiegł do łazienki. Była pusta. W mieszkaniu nie było żony. Co tutaj dużo mówić, lęk eskalował. Widocznym sygnałem dla pana Henryka był ucisk w żołądku.

Pamiętka po wyleczonym wrzodzie.

A może jest nie wyleczony?- kolejna myśl dopadła rozgorączkowanego mężczyznę.

Mężczyznę czterdziestoletniego.

Strach pomyśleć do czego mógłby doprowadzić rozbestwiony lęk. Na szczęście z pomocą pośpieszyły wytwory ludzkiej myśli. Te przeciwstawne Biologii, Naturze.

Rozgorączkowany pan otworzył radio. Serwis informacyjny zaczął się od przypomnienia o zmianie czasu z letniego na zimowy. Potem była już tylko muzyka.

Wszystko to jak balsam podziałało na mężczyznę. Świadomość, że spóźni się do pracy była już zaledwie dyskomfortem.

W życiu tego mężczyzny bardzo ładnie wywahały się proporcje pomiędzy radością płynącą z codzienności i refleksją nad nią. W pobliżu była jeszcze jedna myśl. Następująca: Czy dzisiejszy ranek nie jest sygnałem o potrzebie zmiany albo nawet zamiany życia?

Ta myśl nie dopadła jednak mężczyzny, a to dlatego, że nagle zadzwonił telefon. Dzwonił jeden z pracowników biura. Oznajmił, że dłużej nie można zwlekać i czas najwyższy aby jechać. Chyba, że pan Henryk odwołuje całą akcję.

Nie odwołał.

Umówili się pół godziny później na miejscu akcji. Pan Henryk jest komornikiem sądowym i tego dnia miał przeprowadzić rutynową egzekucję komorniczą w jednym z podmiejskich osiedli.

Czuł się dziwnie. Nie, o strachu nie mogło być już mowy tego dnia. To była rutynowa egzekucja. Odebrać dłużnikowi dwa samochody osobowe to nic nadzwyczajnego dla tak doświadczonego komornika.

Odpowiednio wcześniej zorganizował przyjazd policji i pomocy drogowej, która odholuje auta do magazynu rzeczy skonfiskowanych. A policja zajmie się dłużnikiem na wypadek gdyby był agresywny. Nic specjalnego dla tak doświadczonego komornika.

Na parkingu byli już wszyscy. W tym dwóch pracowników pana Henryka. Zasadzka na dłużnika była gotowa.

Wszyscy wsiedli do aut i korowód, a dla tego wybranego karawan, złożony z pięciu samochodów ruszył w drogę. W drogę do nieszczęśnika.

Po kilku minutach przyjechali na miejsce. Komornik wydał kilka poleceń i ludzie zajęli się swymi zadaniami. Ci z pomocy drogowej przygotowali lawetę. Pracownicy komornika spisywali dokładny przebieg zdarzeń a policjanci wyraźnie niezadowoleni z niewdzięcznego zadania ruszyli za komornikiem.

Drzwi otworzyły się.

Stanął w nich rozespany mężczyzna. Był młody i zabójczo przystojny. Lęk powrócił do pana Henryka. Nie dlatego żeby bał się tego młodego, ledwie trzydziestoletniego mężczyzny o łydkach Herkulesa. Lęk gnieździł się w pokoju dłużnika, na wprost drzwi wejściowych. Tam pod pierzyną dłużnika leżała naga żona pana Henryka.

Wszystko co było potem nie interesowało już komornika.

Do końca swych przegranych dni zadawał sobie jedno tylko pytanie.

Jak to możliwe aby prześcieradło było jeszcze ciepłe, wtedy, w domu kiedy przesuwałem po nim dłonią?

WŁAŚCICIEL LOMBARDU

Przychodzili do niego z nieszczęściami. Tak jak do lombardu przynosi się zegarek, tak do niego przychodzili aby oddać swoje nieszczęścia. Nie kupował wszystkich. O, nie. Starannie wyszukiwał te prawdziwe, naprawdę bolesne.

Nikt nie wiedział kim był właściciel tego specyficznego lombardu. Krążyły pogłoski, że przybył z drugiej strony wyspy. Tej w której nikt z nich nie był. Nawet żaden z nich nie znał tam drogi. I nie mogło być inaczej bo wiodła ona nie poprzez lasy czy góry, nawet nie rzeki. Można tam było dotrzeć jedynie dzięki szlachetnemu urodzeniu lub bogactwu. Najczęściej dzięki jednemu i drugiemu. Ludzie jak to ludzie, mówili, że człowiek ten był synem pirata łupiącego statki ze złotem i aby odkupić winy ojca został właścicielem nietypowego lombardu. Inni twierdzili, że to on sam wzbogacił się na ludzkich nieszczęściach, bo w przeszłości był medykiem obiecującym niemożliwe. Życie umierającym.

Czy było tak naprawdę? Tego nie byli pewni. W każdym bądź razie chcieli w to wierzyć i wierzyli. Przychodzili do niego i opowiadali swoje nieszczęścia, a on płacił lub też nie. Nie kupował byle czego.

Nie interesowały go choroby, śmiertelne wypadki czy utrata ukochanych synów i córek. A z tym przychodzili najczęściej.

Kiedyś ludzie wyczerpali już wszystkie pomysły na nieszczęścia. A te prawdziwe zupełnie nie interesowały lombardzisty, bo były dla niego zwyczajnie blade.

Wtedy postanowił przyjść im z pomocą i sam zaproponował to co chętnie wzięłyby do swego przybytku. Wymyślił mianowicie, że zapłaci temu kto zabił i odczuwa prawdziwe wyrzuty, cierpi trawiony ogniem wewnętrznym. Zgłosiło się nadspodziewanie wielu kandydatów. Jedni mieli na sumieniu po jednej ofierze i cierpieli. Inni zabili dwie ofiary i jak sami mówili cierpią dwukrotnie bardziej niż ci pierwsi. Jeszcze inni nazabijali tylu, że nawet nie pamiętają ilu. A cierpią niewymownie. Lombardzista słuchał ich zniesmaczony i znudzony. Ci bardziej bystrzy zauważyli po pewnym czasie, że słowa ich nie budzą u lombardzisty współczucia ani nawet zainteresowania. Wtedy kończyli swe nieszczęsne tyrady i przysłuchiwali się tym, którzy opowiadali bez końca. Po jakimś czasie twarze tych pierwszych przybrały wyraz ten sam jaki miał lombardzista. A zaraz potem wycofywali się bezszelestnie i niepostrzeżenie z przybytku. W ich oczach rodziło się coś na kształt wstydu, rozczarowania i ośmieszenia. Tych dwóch ostatnich czynników było więcej i szybko zdominowały one tą emocjonalną mieszankę.

Pozostałych ludzi właściciel lombardu wysłuchał i powiedział, że zapłaci temu kto zabił, ma prawdziwe wyrzuty i nie zgłosił się aby o nich opowiedzieć. Ludzie poczuli się pokrzywdzeni i miotali przekleństwa.

Nawiasem mówiąc liczba mieszkańców wyspy zmalała prawie dwukrotnie od chwili gdy lombardzista wymyślił ten pomysł.

Od tej chwili nikt już do niego nie przychodził. On sam mocno znudzony i samotny wyruszył w poszukiwaniu człowieka, który spełniałby jego wymagania. Okazało się, że mieszka taki na wyspie.

Prawdopodobnie zabił tylko raz, ale odmieniło to jego życie już na zawsze. Z lombardzistą nie chciał nawet rozmawiać. Przegonił go jak najdalej od swego domostwa.

Ponownie więc zaczął myśleć właściciel lombardu co zrobić. I wymyślił. Oświadczył ludziom, że wie jak wykupić ich od nieszczęścia. Muszą tylko zdeklarować się, że nie będą zawierać małżeństw i nie zechcą posiadać dzieci.

Wszyscy zgodzili się. Część dotrzymała danego słowa, inni otrzymywali stale pieniądze, ale pokątnie zawierali małżeństwa i rozmnażali się. Wtedy ci pierwsi donosili na tych ostatnich. Lombardzista sprawdzał wszystkie donosy i jeśli okazywały się prawdziwe wstrzymywał wypłatę kuriozalnego stypendium.

Życie toczyło się dalej.

Lombardzista przechadzał się po wyspie aż któregoś razu postanowił dotrzeć do tego, który odmówił opowiedzenia o swym nieszczęściu. Zastał go przed domem wraz z ciężarną kobietą. Była żoną tego człowieka.

Zaraz potem właściciel lombardu wyjechał pośpiesznie z wyspy i nigdy już tu nie wrócił.

FERALNY TYDZIEŃ

Wyłączył komputer i przetarł zmęczone oczy. Wyprężył się, unosząc przy tym ręce do góry. Był tak zmęczony, że nie chciało mu się zrobić wieczornej toalety.

Zrezygnował nawet z prysznicza.

Wszedł do łazienki jedynie po to żeby otworzyć tubkę pasty do zębów. Przyłożył ją do ust i nacisnął lekko. Gęsta substancja o smaku mięty wypełniła usta. Otworzył kran i nabrał wodę do ust. Wszystko to czyli wodę i pastę wymieszał, poczym wypluł całość do umywalki.

Przepłukał jeszcze wodą usta i w ten oto sposób zakończył nader skromną toaletę.

Od czasu kiedy żona wyjechała z dziećmi na wczasy, życie komputerowca zaczęło ulegać powolnemu rozkładowi. O czym grafik komputerowy zdaje się nie miał w ogóle pojęcia. A nawet gdyby prowadził samoobserwację to pewnie nie nazwałby tego tak radykalnie.

Ot, drobne uchybienie w codziennym harmonogramie zajęć. Tak więc nieświadom własnego rozkładu, położył się do snu. O zgrozo, w ubraniu. Taki był zmęczony.

Dobiegł końca tydzień w którym komputerowiec został słomianym wdowcem. Przed sobą miał jeszcze tydzień wolności. To ostatnie zdanie to cytat z jego myśli. Pragnę podkreślić słowo WOLNOŚĆ.

Następny tydzień komputerowiec postanowił poświęcić uciechom. Pozostawiony samotnie w mieście bez kolegów, zamierzał wyjechać za miasto, nad wodę. Tam pozna młodą blondynkę, spaloną słońcem na brąz. Następne kilka dni spędzi z tą amatorką dojrzałych, czerstwych mężczyzn, w wynajętym pokoju hotelowym. Do mieszkania nawet nie przyszłoby mu do głowy, zaprosić złotobrazową. I nie chodzi tu wcale o zasadę niekalania małżeńskiego łoża, a jedynie o życzliwość sąsiadów, którzy niewątpliwie szepnęliby słówko małżonce.

Tymczasem komputerowy podrywacz zapadł w sen. Jednakże Morfeusz nie był dla niego łaskawy. Sen, który nawiedził grafika był przykry.

Oto bowiem znalazł się na samotnej, bezludnej wyspie z której nijak nie dało się wydostać.

Na dodatek pojawił się dziwny stwór. Ni to kobieta, ni to mężczyzna. Poruszał się na czterech łapach i miał lwi ogon.

Sfinks- wykrzyknął radośnie i zaraz stropił się. Nie dość, że jest na bezludnej wyspie, to jeszcze zjawiała się ta zagadkowa postać, która go zeżre.

Nie wiesz jak się stąd wydostać?- przemówił miękkiem głosem stwór.

Mimo słońca w zenicie, rozbitkowi zrobiło się zimno. Nawiasem mówiąc była to przecież jakaś korzyść z tego upalnego dnia.

Długo wahał się rozbitek co zrobić z pytaniem, jakiej udzielić odpowiedzi. Ta ostatnia nadeszła od pytającego.

Nie musisz się mnie obawiać, nie wierz w te bzdury, które od lat o mnie wypisują.

Swoją drogą- pomyślał rozbitek- jeśli nie mogę się stąd wydostać, to może lepiej gdyby mnie pożarł?

Ja też nie wiem, jak się stąd wydostać- przerwał Sfinks i zaczął opowiadać o swej niedoli.

Nie chodziło mu przy tym wcale o niedole wynikającą z przebywania na wyspie, a jedynie o złe konotacje wynikające z faktu bycia hybrydą.

Rozgadał się stwór. Mówił i mówił aż wreszcie znużony rozbitek zasnął. Tymczasem grafik obudził się.

Było już po południu kiedy odświeżony kąpielą, wsiadł do auta i wyruszył nad wodę. W poszukiwaniu swej złotobrazowej, dzięki której raz jeszcze udowodni, że choć na krótko powstrzymał kataboliczne procesy organizmu.

Nic to, że skóra nieco przywiedła, brzuch większy, a nóżki cieńsze.

W tym celu zaparkował nowo nabyte (ale kolejne już) auto nad samiutkim brzegiem wody i rozłożył się na ręczniku Frotte.

Nie musiał długo wypatrywać wśród roju opalonych ciał. Dostrzegł tą o której marzył.

Spalona na brąz złotowłosa piękność o bujnej lwiej grzywie. I ona też zwróciła na niego uwagę. Kilkoma żartami i komplementami podanymi na przemian, wzbudził zaciekawienie, a już za chwilę aprobatę.

Wydawało się, że wszystko pójdzie gładko, jak co roku. Wsiedli do auta i po chwili rozmowy dziewczyna zapytała go czym się zajmuje zawodowo. Okazało się, że połączyć może ich także wspólna pasja czyli komputery.

W tym momencie dziewczyna zapytała czy zmienił oprogramowanie aby stracić danych. Był to bowiem ostatni dzień roku 1999.

Zimny pot oblał podrywacza graficznego. Natychmiast zawrócił w kierunku domu. Nie mógł dopuścić aby dorobek całego życia zamienił się w proch.

Przecież wszystko miał komputerze. Sprawy zawodowe, domowe rachunki. Podobnie było także ze sprawami żony.

Kiedy zajechał na miejsce i wszedł do domu, jakież było jego zdumienie gdy przy pulpicie komputera dostrzegł swoją żonę.

- Zapomniałaś o tym, dzwoniłam ale nie było...W tym momencie dostrzegła opaloną dziewczynę.

MÓJ INSTRUKTOR

Wjeżdżałem do pustego miasta. Chciałbym żeby takie było zawsze, a nie tylko nocą. Do świtu brakowało godzinę, może półtorej. Do domów powracali zmęczeni nocnym życiem żuliki.

Za chwilę w tych samych miejscach pojawią się ludzie idący do pracy, dzieci biegnące do szkoły i mnóstwo pojazdów, sunących obeznanymi do znudzenia trasami. To dopiero za chwilę. O takiej porze jak teraz miasto jest do zniesienia, ale to przecież nie jest miasto. To właściwie jest stan zawieszenia między pustką nocy i chaosem dnia. Bałbym się chodzić nocą po mieście. Nie dlatego żebym bał się ludzi. Zupełnie nie dlatego.

Uciekałem właśnie od pustki. Ileż to razy żona i znajomi nakłaniali mnie aby po późno wieczornych czy nawet nocnych spotkaniach w knajpkach, pospacerować po mieście. Zawsze udawało mi się wymówić od tego.

Spojrzałem na niebo.

Zaczynała się magiczna godzina. Tak operatorzy filmowi nazywają krótkotrwały okres kiedy kończy się noc, a jeszcze zdążył zacząć się dzień.

Wjechałem w węższe uliczki i przez chwilę między gęstwiną wysokich budowli zasłaniających niebo.

Wreszcie wydostałem się na szerokie, otwarte aleje prowadzące do mojego domu. Tu już nic nie mogło mnie zaskoczyć i kiedy myślałem o długim śnie, dostrzegłem tramwaj. Tramwaj jak tramwaj, ale jego przód wzbudził moje autentyczne zainteresowanie. Kłębiła się tutaj przedziwna metalowa masa, tworząca wraz z tramwajem jedną całość. Przez chwilę pomyślałem nawet, że jest to rzeźba jakiegoś współczesnego artysty. W miarę zbliżania się zaczynałem rozumieć, że zdarzył się wypadek. Puste drogi, prawie świt i wypadek.

Tak nie zaczynają się udane powroty.

Zatrzymałem się z niechęcią. Nie chciałem otwierać drzwi, bo wpadnie to złe powietrze. Złe od krzyków, spazmatycznych jęków, lamentów i złorzeczeń. I nie myślałem tylko o tym co zobaczyłem teraz.

Wysiadłem.

Samochód osobowy był zdruzgotany. Kilka metrów od pojazdu leżała tabliczka. To oznaczało, że auto służyło do nauki jazdy. Metalowa tabliczka była pogięta na wszystkie możliwe strony. Sama literka L przybrała śmieszne, dziwaczne kształty.

W milczeniu próbowaliśmy otworzyć drzwi. W aucie był tylko kierowca. Drzwi nie chciały ustąpić. Pierwszy zrezygnował motorniczy i wyrzucił z siebie, nie pytany, długi potok słów. Opowiedział mi o całym zdarzeniu. Nie odezwałem się nawet słowem. Drzwi puściły.

Kierowca jeszcze żył.

Spotkałem go już gdzieś, kiedyś...jakieś dwadzieścia, może dziewiętnaście lat temu.

*

Zamknąłem drzwi i zapiąłem pas.

Dzisiaj pojeździmy sobie po większych skrzyżowaniach- oznajmił instruktor nauki jazdy.

Szczupły, kościsty chyba czterdziestolatek. To były ostatnie dwie godziny jazdy, które mieliśmy spędzić razem. Muszę przyznać, że polubiłem tego faceta. Z drugiej jednak strony gdy pomyślałem o czekającym mnie egzaminie praktycznym, to ścisnęło mnie odrobinę w żołądku. Byłem przekonany, że niewiele mnie nauczył.

Zresztą, jazda, przepisy i w ogóle auta nie interesowały mnie zupełnie. Na kurs zapisałem się jedynie po to aby nie robić przykrości matce. Ona w przeciwieństwie do mnie miała dużo entuzjazmu dla czterech kółek. Prowadziła swoje auto z wielką wprawą i ciągle bezkolizyjnie. Od blisko piętnastu lat. Mogłaby z powodzeniem uczyć mojego instruktora.

Dzwoniła zapamiętała do internatu w którym mieszkalem i za każdym razem przypominała mi o kursie nauki jazdy. Nawet wyjazd, cieszyłem się na myśl o nim, do odległego miasta, nie chronił skutecznie od wszechobecnej matki. Współlokatorzy szybko nazwali mnie maminsynkiem, więc cała nadzieja, że tu w wielkim mieście poczuje się nareszcie szczęśliwie osamotniony, wzięła w łeb. Tym bardziej nie chciałem przebywać w internacie. Nawet uczyłem się po za nim. W parku albo ciastkarni, gdzie nie było rówieśników. Ponieważ niewielkie to miejsce znajdowało się w pobliżu, większość bywalców, a ściślej bywalczyń stanowiły studentki. Chłopców było niewielu. Jeśli już przychodzili to w towarzystwie dziewczyn. Myślę, że nie podobało im się tutaj. Było za cicho i nie można było popalać papierosków.

Ruszyliśmy ku większym skrzyżowaniom. Ponieważ w trakcie trzech ostatnich tygodni i osiemnastu godzin jazdy uświadomiłem sobie, że mój nauczyciel ma niewielkie pojęcie o swej profesji, dlatego też zmusiło mnie to do autodydaktyki. Zakupiłem wówczas dwie czy trzy książki i szybko pochłonałem ich zawartość. A wszystko to w trosce o swe zdrowie, a nawet życie.

Dojeżdżając do skrzyżowania, instruktor udzielał mi wskazówek i ostrzeżeń dotyczących wszystkiego, tylko nie tego czego powinien. I za co w końcu zapłaciłem.

Najlepszy był zwykle w opisie typów psychologicznych osób, które tylko dzięki zrzędzeniom losu nie rozjechałem.

Kiedy rozlegały się krzyki w rodzaju: - Baranie, na pastwisko jedź się uczyć, a nie w mieście- wtedy instruktor mówił niewzruszenie- To typ choleryka. Reaguje żywiołowo, silnie ekspresyjnie...

Jak go uczysz, drugi udany- komentowała nadal żywiołowo niedoszła choleryczna ofiara.

Parę metrów dalej mój mentor zdążył już zapomnieć o całym zajściu.

Kiedy zaczniesz sam jeździć, instruktora nie będzie obok, to pierwsze jazdy będą mocno stresujące. Prawo jazdy będziesz mieć w kieszeni, niby wszystko gra, ale w ustach jest sucho ze strachu. Nie będzie nikogo kto nadepnie na hamulec w razie niebezpieczeństwa.

Pomyślałem sobie, że będzie dokładnie odwrotnie. Za półtorej godziny uwolnię się od tego amatora.

Już wkrótce okazało się jak niewielkie były moje umiejętności. Egzamin praktyczny zdawałem pięć razy, co wzbudziło szczere zdziwienie mojej matki, przekonanej o genialności swego syna.

*

Zanim nadjechała karetka mój stary instruktor umarł.

GENY DLA MOICH DZIECI

Zwykle czytam ostatnie strony gazety. Tam bowiem znajdują się program telewizji i wiadomości sportowe. Pozostałe strony przerzucam pobieżnie. Tu przeczytam o samobójstwie lumpa, a tam o zabójstwie taksówkarza.

Że niewiele czytam?

A pewnie. Za to tylko o ważnych sprawach. Co może być ważniejsze od ludzkiego życia?

No, pytam się.

Tego dnia skończyło mi się piwo i zabrakło pieniędzy. Spokojnie, spokojnie. Tylko chwilowo. Rentę odbieram za trzy dni. W poniedziałek, ale żona...

No właśnie. Żona wraca dopiero za trzy dni. Cholerne, długie trzy dni. Jak ja się cieszę, gdy wyjeżdża do swojej matki i mogę być sam. Tym razem jednak radość przeszła mi szybciej, pierwszego dnia, to znaczy dzisiaj.

Nawet głupich trzech złotych nie posiadam na browarek. W takich, nerwowych sytuacjach przypomina mi się zawsze jak to pod celą było. Zawsze chodziliśmy tam i z powrotem.

Musisz chodzić- mawiał Leszek Ś.- bo inaczej mięśnie ci zanikną.

Swoją drogą po wyjściu z więzienia Leszek Ś. zmarł z powodu atrofii mięśni. Że też można umrzeć z tak durnych powodów.

Oczytany był z niego człowiek, nie powiem.

Boże wszechmogący, ale czym zakąsać?- cytował Wienicką Jerofiejewa, swojego idola.

Później idola nas wszystkich.

Jak już się przespacerowałem wzdłuż i wszerz po naszym blokowym salonie, trzy metry na trzy, to usiadłem przed telewizją.

Na jednym programie film o doświadczeniach na szczurach i myszach. O, dziękuję. Kiedy tylko widzę białą myszkę zaraz rezygnuję z oglądactwa. Na drugim kanale Pani zabija Pana, a nie okazuje się, że uprawiają gwałtowną miłość. Rozczarowałem się i już wyłączam odbiornik.

Cóż więcej mi pozostaje?

Z niechęcią patrzę na gazetę. A niech tam, sięgnąłem i czytam. Nie wierzę w powodzenie dotarcia do końca artykułu. Długi on jak droga mojej żony do teściowej i z powrotem. Ale oto uwaga, widzę, że mi się podoba. Wciąga mnie po prostu.

Autor mi mówi, że w 2019 roku, dzięki inżynierii genetycznej rodzice będą mogli dobrać cechy dla swoich jeszcze nie narodzonych dzieci. Z ciekawością przeczytałem do końca.

Potem przez trzy dni, aż do przyjazdu żony, nie miałem czasu na nudę. Lektura wymusiła na mnie refleksję.

Przez wszystkie te dni nic tylko rozmyślałem o genetyce.

Zamyśliłem się. Co ja bym chciał przekazać córce i synowi. I nie wiem ci mógłbym im kupić. Gdyby rzecz jasna miały przyjść na świat w roku 2019. Jakie geny spowodowałyby żeby były szczęśliwe?

A może są jakieś geny odpowiedzialne za inteligencję. Nie, no pewnie, że są. Ciekawe jak to będzie się płacić, od cechy, genu czy jak?

Marysi kupiłbym gen blokujący jej nadmierną kobiecość. Żeby nie musiała w agencji towarzyskiej pracować. Ma przecież dziewczyna zawód. Fryzjerką jest, ale jakoś nie garnie się do pracy w zakładzie.

Marianowi (jeszcze trzy lata w więzieniu) kupiłbym geny Dobra. Żona mi mówi, że to po mnie Zło odziedziczył.

Czy ja wiem?

NOE I RESZTA

Zadzwoił telefon. Przekręciłem głowę. Wydawało mi się, że kurz unosi się z drżącej niepewnie słuchawki. Tak rzadko była brana do ręki. Ja wiem, po tygodniu nietrzeźwienia to były tylko przypuszczenia moich oczu.

Tak, czy inaczej zdziwiłem się. Raz, że jeszcze go nie wyłączyli, a dwa, że dzwoniła Zofia. Zofia to moja była. Nie widziałem jej chyba całe siedem lat świetlnych. Poróżniła nas kwestia Patriarchalizmu. Ja jej mówiłem, że cała Kultura zachodnia jest oparta na takich właśnie relacjach. Ona nieustannie o partnerstwie. To musiało się tak zakończyć. Neurotyczka jedna. I kiedy już po siedmiu latach nauczyłem się z tym żyć to akurat zadzwoniła. Od razu wyjaśniam, że piję ze wszystkich innych powodów, które można sobie wymyśleć, tylko nie z powodu Zofii.

Już nie.

Zadzwoiła żeby mnie ostrzec. Powiedziała mi, że idzie wielka powódź. To całkiem możliwe bo jak kładłem się do mego zapierdolonego łóża to słyszałem krople dudniące o parapet. Teraz się budzę i to samo. Żeby się upewnić podczołgałem się do niewielkiego okienka. W swojej naiwności myślałem, że będzie na wysokości podłogi.

A gównu.

Człowiek we mnie zmuszony został do wzięcia góry nad zwierzem. A Kultura nad Naturą. Po raz kolejny okazało się, iż jestem posiadaczem dwunożnej lokomocji. Deszcz prał niemilosiernie. Spokojna głowa pomyślałem, do czwartego piętra, gdzie mieszkam, jeszcze daleko. O, nawet samochody jeszcze jeżdżą. Taki uspokojony i wyprostowany wróciłem do odkurzonej słuchawki. Próbowałem uspokoić Zofię, ale ta w płacz, że kataklizm, powódź wielka idzie i ona chce się ze mną ratować.

Pytam ją czy oszalała do reszty czy co?

Ja bym się nawet cieszył gdyby to była prawda. Z nieba spadło mi to szczęście. Tak zacząłem myśleć, ale natychmiast ukarałem się za dziewiczą niewinność. Popada i przestanie. Jak zwykle.

Nic nie pomogło.

Była przyjechała do mnie i zapowiedziała, że musimy się ratować. Zeszła na dół i bez trudu odpaliła mego fiacika. Cały czas powtarzała naszego fiacika. I dalej o potopie karze za grzechy i tak dalej. Wpakowała do auta, na tylne siedzenie, starą lampę i papugę przywiezioną ze sobą. Ptaszysko to było w olbrzymiej klatce i ledwo mieściło się w autku. Oponowałem kiedy usiadła za kierownicą. W końcu uległem. Jestem racjonalistą i działają na mnie argumenty odwołujące się do mego nietrzeźwego stanu. Ruszyliśmy w drogę. Szybko wyjechaliśmy po za miasto.

Od tej ciągłej jazdy to niedobrze mi się zrobiło.

Poprosiłem grzecznie abyśmy przystanęli. Leciutko oparłem się o stare, dorodne drzewo i opróżniłem zawartość mego syfonowatego żołądka, tak charakterystycznego dla naczelnych.

Kiedy uniosłem głowę do góry, oczom moim ukazał się istic malarski widok. Na polu stały kopki siana, a między nimi chodził mój pradziad z Heidelbergu wraz z rodziną.

Jeszcze mocno włoszaci, a i kręgosłup nie chciał być całkiem pionowy. Przywitałem się i poszedłem za Zofią na wierzchołek wzniesienia. Tam był kres sianowego pola.

O w mordę.

Tu było jeszcze więcej ludzi. Był Abelard z Heloizą, Vanini, Lamarck spierający się z Darwinem. To już było za dużo jak na moje obolałe ciało.

Kiedy zobaczyli mnie i Zofię, zaczęli nawoływać, prosić i grozić aby zabrać ich ze sobą, ratować przed potopem.

Ledwie udało nam się wsiąść i w pośpiechu odjechać. Zosia była dobrym kierowcą, a mój, to znaczy nasz fiacik, ta cudowna arka, mknął naprzód.

Poczułem się bezpiecznie i wierzyłem, że Zosia uratuje nas przed zagładą. Cudowna kobieta. Pocałowałem ją w policzek i usnąłem, przytulony do drzwi arki.

DRUGIE PODEJŚCIE DO ŻYCIA GENOWEFA F.

Byłem na jego pogrzebie. Wydawało mi się, że byłem. Nie, no byłem. Wszyscy tam byli. I oto teraz widzę go jak przechodzi przez jezdnię na czerwonym świetle. Jak zwykle nieuważnie, pobieżnie rozejrzał się i dalej na drugą stronę. Żeby chociaż robił to w mgnieniu oka, szybko jak błyskawica, ale nie, powoli kuśtyka. Na tych swoich czterech nogach. Genowef F. Porusza się przy pomocy kul.

Uderzające podobieństwo, niestety tylko podobieństwo. Fizjonomia, rozumiem, kule, to już powinno wzbudzać moje podejrzenia. Na dodatek ta sama nieostrożność? Poszedłem za nim. Poznałem go dzięki wspólnym znajomym. Tyle razy wspominali o nim, że w końcu chciałem poznać właściciela tego nietypowego imienia. Genowef F. Z opowieści jawił mi się jako klasyczny wręcz przykład pseudoartysty, jakich roje przewijają się przez to miasto, zaśmiecając stęchlizną umysły nielicznych niewinnych.

A kiedy go już poznałem okazało się, że przegięcie jest akurat w drugą stronę. Wyglądał jak modelowy przedstawiciel naszej robotniczej dzielnicy. Za grosz wycucia estetyki. Sweter niebieski, kurtka zielona a na głowie popielata czapka z daszkiem tak zwana kominiarka. Pewnie w zimie opuszcza ją na twarz, pomyślałem wówczas.

Przy tym pierwszym naszym spotkaniu zaatakowałem go. Z natury jestem atakującym, złośliwie atakującym. Wśród znajomych mój atak wywołał coś na kształt zgorszenia. Jakbym naruszył co najmniej kulturowe tabu. Pomyślałem, że znajomi znaleźli sobie maskotkę towarzyską i nie pozwalają aby ktoś robił jej krzywdę. A to oznaczało, że po pierwsze przedkładają jego nade mnie. Nie wiem wciąż czemu.

A dwa, dlaczego jego?

Szybko okazało się, że był to niezwykle człowiek. Mieszanka wariata z erudytą, żuła z psychologiem.

I jeszcze paroma innymi składnikami. W ogóle studiował kiedyś Fizykę. To wzbudziło u mnie dysonans poznawczy, jak mawiają psycholodzy. Za cholerę nie wiedziałem jak go opisać, tego Genowefa F.

Zapytałem więc co to za autokreacja z tym imieniem. Znajomi nawet nie chcieli na mnie patrzeć. Szczególnie damy.

Nie, to niemożliwe. Moje cudne i pachnące najdroższymi perfumami damy z tym .. z tą hybrydą. Przecież nagła krew zaleje mnie na miejscu nim minie minuta. Odszedłem na stronę i wziąłem kilka naprawdę głębokich oddechów. Pomogło.

Kiedy wróciłem, znajomi linczowali mnie wprost spojrzeniami. Przecież to ja zawsze byłem duszą towarzystwa. Cóż więc ich tak dziwi, że nie chcę oddać pola przybłędzie.

Genowef przyznał, że imię to związane jest z niespełnionymi ambicjami Ojca, który koniecznie chciał mieć córkę, a nie syna! Wobec tego żona powijając chłopca skazała się na niemal wieczne potępienie ze strony małżonka. No więc aby wybawić nieszczęsną Jolantę od poczucia winy, a swego ojca od głębokiego cierpienia, przybrał takie właśnie imię.

Z biegiem czasu coraz rzadziej spotykałem się ze znajomymi. Tak mnie drażnił ich idol. Któregoś dnia wszystko odwróciło się diametralnie. Wszedłem do przypadkowej knajpki, bo moja akurat była w remoncie. Tłok jak jasna cholera. I kogo widzę? Oczywiście tego przybłędę, kulturowego mieszańca. Wówczas poruszał się jeszcze na trzech nogach. Miał drewnianą, piękną laseczkę. I on dostrzegł mnie od razu. Skrzywiłem usta w uśmiechu powitalnym „żebyś szczeł” i podążyłem do baru aby wypić szklaneczkę mojego ulubionego Bourbonu. Rozglądałem się za jakimś wolnym kątem. I jedyne wolne miejsce jakie dostrzegłem to miejsce przy Genowefie. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Cóż miałem zrobić? Nie wypadało tak stać. Przysiadłem się więc. Rozmowa oczywiście nie kleiła się. W końcu mój niechciany interlokutor skonstatował: Nie lubisz mnie, prawda?. Przytaknąłem ochoczo i spojrzałem na zegarek, udając, że spieszy mi się. Genowef uśmiechnął się lekko. Wyczuł mój blef.

Była szósta po południu z minutami, a godzinę później rozmawialiśmy jak starzy przyjaciele. Jak bardzo pomyliłem się w ocenie tego sympatycznego człowieka. Połączył nas Ateizm. Obaj bowiem wierzymy, że religia jest dla słabych duchem. Powiedziałem, że Spinoza wydał krzyk rozpaczony mówiąc: Idea Boga zawarta w nas samych musi mieć za przyczynę samego Boga. Mój świeżo pozyskany przyjaciel stanowczo odrzucił taką sugestię.

Potem była jeszcze Nietzscheńska krytyka chrześcijaństwa zalecająca postawę dobrotliwego, pokornego przeciętniaka, a wszystko co najlepsze spotka nas w przyszłym życiu. Uśmieliśmy się wtedy zdrowo. Wszystkie lody i bariery puściły. Nie, nie z upływem alkoholu. Bardziej niż to połączył nas Logos.

Wypuściliśmy się w miasto. Wtedy to właśnie stwierdziłem po raz pierwszy jak nieostrożnie jest chodzić z Genowefem. Od tamtej pory spotykaliśmy się wielokrotnie. Nigdy jednak nie wracaliśmy do spraw Boga, eschatologii i tym podobnych imponderabiliów. Po prostu nie było nam to potrzebne. Umowa między dżentelmenami została zawarta raz na zawsze. Od tamtej pory rozmawialiśmy już tylko o życiu. A nie, przepraszam. Raz jeszcze powróciliśmy do tych spraw przy okazji rozmowy o antropologii Levi- Straussa. Dobrze wiedzieliśmy, kto jest adresatem mitów ale kto jest nadawcą? Tak, zgodnie stwierdziliśmy, że nikt tego nie wie. I dopóki żyje ostatni człowiek nikt nie może się tego dowiedzieć.

Spacerowaliśmy wtedy do białego rana, a nasz szlak wyznaczały nocne lokale. Od pewnego czasu ich ilość znacznie wzrosła w naszym mieście.

Kiedy tak rozmyślałem o początkach znajomości z Genowefem, właśnie spotkałem znajomego. Jednego z tych gorących wielbicieli jego osoby.

A cóż się tak skradasz?- zagadnął.

Zobacz za kim podążam- odparłem szeptem.

Rozglądając się w prawo i lewo, do przodu i do tyłu. I nic.

Jak to nie widzisz przed sobą Genowefa?

Popatrzył na mnie uważnie.

- Stary bardzo cię przepraszam ale spieszę się na egzamin, wiesz antropologia.

I poleciał.

Dogoniłem Genowefa lub ładząco podobną do niego postać. Już chciałem zapytać: Jak to, to ty żyjesz? Albo: Przepraszam czy pan Genowef F.?, kiedy właśnie wyszła z za rogu Zoja.

Uśmiechnięta od ucha do ucha. Ta to dopiero kochała Genowefa. Patrząc, idąc na siebie. Pięć.

Cztery. Trzy. Trzy i pół metra od siebie. Trzy i nic. Dwa i wciąż nic. Minęli się.

- Cześć-wrzasnęła na mnie jak to ona- znajomych nie poznajesz?

Ty nie widziałas kto to był?

Zrobiła wielkie oczy.

Nie miałem czasu nawet z nią gadać bo Genowef, do cholery byłem pewien, że to on, akurat przechodził przez jezdnię na czerwonym świetle. Rzuciłem się za nim, myśląc, że uratuję mu w ten sposób życie.

Uważaj auta, Genowef!- wrzeszcze na cały głos. Wszystkie auta się zatrzymały.

Nie drzyj się – warknął jeden z taksówkarzy- przecież widać go jak na dłoni. Skłoniłem się w geście przeprosin, ale rozpierała mnie w tym momencie radość. Otóż muszę się przyznać, że od chwili spotkania z pierwszym znajomym, pomyślałem, że Genowef jest niewidzialny.

Zrównałem się z nim już po drugiej stronie ulicy.

Co tak długo i dlaczego wszystkim wskazujesz na mnie?

Ja ciebie przepraszam Genowef, ale to przecież nasi znajomi, ba przyjaciele. Dlaczego cię nie widzą?

Bo tylko ty jeden możesz mnie zobaczyć

A ten taksówkarz, a te wszystkie zatrzymujące się auta?

Pokręcił głową ze zniecierpliwienia.

Nie bądź niemądry, w końcu będziesz doktorem a może nawet profesorem Socjologii.

Będziesz czy nie?

No, będę

Przechodzące nastolatki zapytały Genowefa o godzinę. Spojrzał na zegarek i powiedział: Trzynasta dwadzieścia. Spojrzałem na mój zegarek. Wskazywał dokładnie tą samą godzinę.

Genowef przyłapał mnie na tym.

Myślałeś, że będzie wskazywał jakiś inny czas. Nie ,mój drogi. Przypomnij sobie naszą pierwszą ateistyczną pogawędkę.

No właśnie, no właśnie-jak bardzo paliłem się do tej rozmowy- jest czy go nie ma?

Akurat weszliśmy do parku miejskiego. Genowef zaproponował abyśmy usiedli. Sapnął przy tym ze zmęczenia. Wyczułem, że nie było to tylko fizyczne zmęczenie.

Nie wiem, stary. Naprawdę nie wiem.

WKURWIŁ MNIE TYM DO ŻYWEGO.

Ty nie wiesz, to kto ma wiedzieć?- wydarłem się całą gębą.

A ty dziecko jesteś – warknął Genowef.

Przechodzące nieopodal młode małżeństwo z wózkiem zwróciło nam uwagę żebyśmy tak nie krzyczeli bo obudzimy ich pociechę.

W dupie mam to- nerwy puściły mi już całkowicie.

Zwróciłem całą uwagę na mego transcendentalno-metafizycznego przyjaciela.

Człowieku to po co ty tu przybywasz. Żeby niczego mi nie powiedzieć? Przecież jesteś o coś bogatszy. Tak czy nie?

Przyjaciel zamilkł.

Z rozpaczy złapałem się za głowę. Genowef poszedł w pobliskie krzaki. Zawsze miał problemy z chodzeniem i pęcherzem.

W chwilę potem patrol policji przyprowordzony przez wściekłe małżeństwo aresztował mnie za zakłócanie porządku publicznego.

Po Genowefie nie było nawet śladu.

Jakiś czas potem w pewnym mieście pojawił się człowiek. Ubrany w niemodny sweter i równie niemodną kurtkę. Wysiadł z pociągu. Założył na ręce kule i pokuśtykał w stronę najruchliwszej ulicy.

Nikt nie znał go w tym mieście.

EKSPEDYCJA

Cesarz wymyślił dla nas nie lada karę. Wysłał trzy statki, pod moim dowództwem w poszukiwaniu wyspy o której, gdzieś, od kogoś usłyszał. Nawet nie był pewny czy istnieje. Jego rozmówca z pewnością też tego nie wiedział.

Zapowiedział żebyśmy nie wracali z pustymi rękami. Po kilku tygodniach bezmyślnego dryfowania dopłynęliśmy do niewielkiej wyspy. Była bezludna, prawie niezalesiona, pozbawiona także zwierząt.

Cóż więc miałem przywieźć cesarzowi aby go przebłagać?

Płynąc w poszukiwaniu innej wyspy?

Mój pierwszy oficer stwierdził, że nie ma w tej części oceanu żadnej wyspy. Wierzyłem mu, był ze mną na każdej wyprawie.

Na dodatek on i pewna część załogi stwierdzili, że dość już mają tyranii i głupoty cesarza. Postanowili więc pozostać na tym skrawku lepszej Ziemi, jak wyraził się pierwszy oficer. Nigdy nie pozwoliłbym im na to, ani na każdy inny rodzaj buntu.

Związanych wrzuciliśmy do ładowni i ruszyliśmy w drogę powrotną. Któregoś dnia mój bosman przybiegł do mnie mówiąc, że niewolni ludzie, jak wyraził się o swych dawnych towarzyszach, zapadli na tajemniczą chorobę. Rzeczywiście, kiedy zszedłem pod pokład, ujrzałem, że wszyscy pokryci są nieregularnymi czarnymi plamami.

Kiedy po tygodniach dobijaliśmy do cesarskiego portu, niewolnicy, jak zwykłem ich nazywać, byli czarni. A najbardziej czarnym był Hugo. Mój pierwszy oficer.

Cesarz był wielce uradowany i zaskoczony zarazem z takiego podarunku. Wybaczył mi natychmiast dawne przewinienie. Wyraził współczucie rodzinom marynarzy zabitych przez czarnych mieszkańców wyspy.

A na koniec zapytał: Wielu tam jest jeszcze niewolników?

TAJEMNICE NOCNEGO SPACERU

Ujrzałem niewielkie światełko w oddali. Mimo, że siedłem już dobre półtorej godziny i buty zdążyły już okrutnie obejść się z moimi stopami, po chwili wahania ruszyłem w stronę światła.

Od razu muszę wyjaśnić, że ulica połyskiwała wprost od światła lamp, odbijającego się w kałużach deszczu. Gdzieś tam nawet paliły się światła w mieszkaniach blokowych. A była, spojrzałem ponownie na sikora pierwsza dwadzieścia... prawie pół do drugiej w nocy.

Żona mi głowę ukręci.

No nic, ruszyłem ku jasności. To co mnie zaintrygowało to to, że nigdy, ale to nigdy dotychczas nie widziałem światła o tej porze w budynku klubu sportowego SPARTA znajdującego się w centrum mego miasta.

W miarę zbliżania się moje zaciekawienie wzrastało, a stopy nie odczuwały bólu. Nawet zamroczenie alkoholowe jakby odchodziło w dal. Coraz wyraźniej słyszałem odgłosy dochodzące z klubu. Otworzyłem drzwi i pierwsze co rzuciło mi się w oczy to widok kuli toczącej się w kierunku białych kręgli.

Po chwili wszystkie kręgle rozpadły się na boki. Dwóch mężczyzn urządziło sobie nocną partię kręgli. Jeden starszy, pod sześćdziesiątkę, typ uniwersyteckiego profesora. Lekko przygarbiona sylwetka. Drugi, może trochę młodszy i dobrze zbudowany. Zdziwiły mnie nieco jego włosy. Długie i spięte w koński ogon.

O, jest pan- powiedział na mój widok ten starszy. Taki jakiś smutny wydał mi się jego głos. Temu drugiemu tylko oczy zaświeciły się na mój widok. Bardzo mi się nie spodobał.

Ja byłem pijany, przyznaję mocno pijany, ale oni chyba nie mniej ode mnie. Do cholery wystraszyłem się. I mimo alkoholu we krwi, pomyślałem trzeźwo. Oto co wykoncypowałem: Dwóch lumpów włamało się w środku nocy do klubu, aby zagrać w kręgle. Następna myśl jaka mnie nawiedziła to: Wycofaj się jak najszybciej, grozi niebezpieczeństwo. Już uczyniłem krok w tył, wszak za późno.

Ten młodszy ujął mnie delikatnie co prawda, acz stanowczo za łokieć.

A może zagra pan z nami panie Stefanie- znowu oczy. Nie to były raczej ślepiec. Uśmiechnęły się złowieszczo. A ja głupi, zamiast próbować wycofania zacząłem pytać skąd znają me imię i tak dalej. Alkohol to jednak ogłupia człowieka.

Zdobyłem się na całą stanowczość jaka była we mnie i mówię:

Serdecznie dziękuję, rodzina czeka

Pozwoli pan, że go odprowadzimy- zagaił ten starszy.

Osaczyli mnie. W tej chwili skurczyłem się jakoś w sobie i taki bezwolny już pozostałem.

Wyszliśmy z klubu i po króciutkim spacerku, dotarliśmy do przystanku tramwajowego. Tu po raz kolejny próbowałem uciec. Wymyśliłem mianowicie, że pójde sprawdzic rozkład jazdy tramwajów (dobrze wiedziałem, że o tej porze żaden się nie pojawi, nawet te zjeżdżające do zajezdni) i dam nogę, prysnę tym podejrzanym typkom.

Ledwie pomyślałem, a już usłyszałem dzwonienie nadjeżdżającego tramwaju. Mocne, jak jasne cholera światła, oślepiły mnie. Ale przecież nie na tyle żeby nie mógł stwierdzić literalnie tego, że tramwaju nikt nie prowadzi. Jak Boga kocham. Był pusty.

Włos mi się zjeżył na głowie. Aż się przeżegnałem z tego wszystkiego. Ten młodszy odskoczył gwałtownie ode mnie.

Wsiadamy, wsiadamy- ponaglił. Usiadłem i pomknęliśmy Aleją Solidarności (jeszcze parę lat temu Aleją Lenina zwaną) ku Walcowni Rur (gdzie jest zajezdnia tramwajowa)

Obsiedli mnie teraz na amen.

Jak się panu żyje?- zaczął psychologicznie ten starszy.

Czy warunki socjalne poprawiły się czy też przeciwnie?- spytał młodszy, widać Socjolog.

Próbowałem zracjonalizować całe to zajście i nieco się uspokoilem. Pewnie z okazji pięćdziesięciolecia dzielnicy, badania, podumowania jakieś robią. Naukowcy ani chybi tylko naukowcy.

Tylko ten tramwaj bez motorniczego mnie niepokoił. Ale może mi się przewidziało?

Uspokoilem się. Niestety tylko na moment, bo oto dojeżdżamy do następnego przystanku. Na ulicy, w zatoce dla autobusów stoją płonące znicze. Doskonale pamiętam, że trzy lata temu nasi skinheadzi zabili tutaj niemieckiego kierowcę TIR-a.

Ale to było i minęło. O co tu chodzi u diabła?

Tramwaj szarpnął na zakręcie i Psycholog z Socjologiem uczepili się mnie aby nie upaść.

Obaj mieli zimne, wręcz lodowate dłonie. W związku z czym i mnie zdjął przenikliwy chłód.

A dlaczego to pan dziesięciu przykazań nie przestrzega? – spytał Psycholog.

Ma wolną wolę, więc może robić co chce- przemówił zamiast mnie Socjolog.

Tramwaj podjeżdżał do kolejnego przystanku. Ujrzałem stojącego człowieka. Ucieszyłem się, że pomoże mi odeprzeć ataki tych dwóch. Tramwaj zwolnił i wreszcie zatrzymał się.

Oczekującym był, jak się okazało Harry Angel. Oczy czerwone od łez.

Nawet twoje nazwisko to tani żart- mówił- Louis...

Socjolog podniósł rękę i tramwaj znów ruszył z kopyta. Już wiedziałem dokąd zmierzamy, pętla tramwajowa pod nazwą Walcownia Rur w jednej chwili zmieniła się dla mnie w Walcownię spraw ostatecznych. A więc to koniec, pomyślałem. Będą mnie osądzać. I wtedy właśnie zepsuł się tramwaj. Już był na dobrej drodze do wjazdu przed główne wejście do Kombinatoru Metalurgicznego imienia Tadeusza Sendzimira obecnie , a kiedyś Włodzimierza Ilicza Lenina. Koła zaczęły się obracać w miejscu. Iskrzyło się jak diabli.

Wykorzystałem moment ich nieuwagi i nadludzkim wysiłkiem, jednym szarpnięciem mych kruchych rąk, otworzyłem drzwi i rzuciłem się do ucieczki.

Biegłem znanymi sobie do znudzenia ścieżkami między blokowiskami. Tu mnie już nie dopadną. Z każdą sekundą byłem coraz bardziej szczęśliwy.

I oto nagle widzę nogę wyciągającą się ku mnie z mroku. Założono mi tak zwanego haka.

Jeszcze przez chwilę utrzymywałem pionową pozycję, poczym padłem na twarz. Starłem się z betonowymi płytami chodnikowymi. Cóż za realność. A więc to koniec?

No, tak przecież tym dwóm nie da się uciec. Pomyślałem sobie, że nie ma już po co wstawać. Dobra, dobra koleś, weź nie udawaj- usłyszałem znajomy głos- wyskakuj z kasy.

Przecież to mówił syn dozorczy z szesnastki (numer bloku mieszkalnego). Znany powszechnie bywalec krajowych ośrodków penitencjarnych. Wyborny recydywista- zacząłem się szczerze cieszyć.

Panie Władeczkuz, ja jestem z tego osiedla. Cieszę się, że pana widzę, nawet Pan nie wie jak bardzo- byłem wzruszony- w piątce mieszkam.

W piątce mieszkasz- silne, żyłaste ręce uniosły mnie ku górze i przywróciły do pionowej postawy. Po to tylko aby w następnej sekundzie miarowo obijać moją pijaną głowę.

Będę stać- postanowiłem- za karę, za moje pijaństwo, za które omal życiem nie przypłaciłem. A teraz czuję ból, wspaniały fizyczny, dotkliwy ból. No i realny. Nic w tym nie było relatywnego. Pan Władeczek naprawdę istniał i nie zastosował wobec mnie taryfy ulgowej. Prawdziwy profesjonalista, co tam profesjonalista, wysokiej klasy etyk w zawodzie chuligańskim. Leżałem sobie na chodniku i przyjmowałem kolejne uderzenia w brzuch. Na koniec przeszukał moje kieszenie, jeszcze raz mnie kopnął. Był zły, że tak niewiele gotówki posiadam.

Podsunałem mu pewien pomysł. Miałem przecież na palcu złotą obrączkę ślubną. Sprzeda ją sobie i już. Skrętnie wykorzystał moją propozycję i po kilkudziesięcioszekundowej szarpaninie palca zdobył moją obrączkę. Nawet nie myśl o zawiadomieniu policji- powiedział na odchodne. Przez myśl nawet by mi to nie przeszło. Już się bowiem cieszyłem na czekającą mnie w domu awanturę. Za jakieś pięć, dziesięć minut. Tak, awantura odbyła się rzeczywiście piękna. Żona krzyczała, ja milczałem z uśmiechem. Co jeszcze bardziej irytowało żonę. A ja cieszyłem się, że mam tak wspaniałą małżonkę. Mimo, że minęła dziesiąta rocznica ślubu ona wciąż mnie kocha. Nazajutrz spotkałem pana Władeczka. Był z kolegami. Spożywali właśnie czerwone wino. Przechodząc, mrugnąłem i szepnąłem: Cicho sza, nikomu nie powiedziałem.

Takie ja chcę mieć tylko tajemnice.

OD POCZĄTKU

Tego dnia świat się skończył. Słońce nie wzeszło. No tak, oczywiście tylko dla mnie. Ledwo się obudziłem i już wszystko widzę w czarnych kolorach. Już wiem, że nic nie zrobię. Nie powinienem nawet wychodzić z mieszkania. Nadmiar bodźców drażni mnie i wkurwia po prostu. Samochody za oknem, samoloty nad głową. Mieszkam bowiem w pobliżu portu lotniczego. Już zamierzam zakryć się szczelnie kołderką lub jak mawia mój ileś letni bratanek kordelką, kiedy w sukurs przychodzi mi myśl pod tytułem: PRZECIEŻ CICHU JEST JAK JASNA CHOLERA.

Zaintrygowała mnie ta myśl i wysuwam noc oraz całą resztę na światło dzienne. Faktycznie ni nie słyszę. Czy to aby możliwe? Żaden biznesmen nie jedzie swoim oplem na lotnisko, po to aby za chwilę odlecieć na zagraniczne spotkanie? I czy politycy nie odlecą na szczyt NATO? Wysuwam głowę przez okno i najpierw to myślę sobie, że gorzej ze mną niż zwykle. Przecież w ogóle nie widzę bloków mieszkalnych rodem z socrealizmu. Dróg nie ma. Nie, no bez jaj. Nic nie ma.

Drzewa jakieś takie wielkie jak z filmów Fantasy. Cóż się u diabła dzieje?

Troska o świat wzięła u mnie górę nad zamartwianiem się nad sobą. Muszę się przyznać, że przyszła mi do głowy cichutka, ale wyraźna myśl: Jest nadzieja na uratowanie świata, nie trać jej. Nie wiadomo kiedy i czy w ogóle jeszcze takowa się powtórzy. Zaraz skarciłem się jednak za ową myśl.

Przecież nie jestem Jamesem Bondem.

No nic.

Wyszedłem na powietrze. Świeżo jakoś mi się od razu zrobiło. Wokół same drzewa, chaszczce. Niebo zasłaniają. Idę i ciągle mam wrażenie, że to sen i w filmie jakimś przyszło mi grać. Nagle ziemia zaczyna dudnić. Od razu przypomniałem sobie o mojej depresji. No tak, za chwilę siły Zła zetną się z siłami Dobra. Dlaczego jednak, u kurwy nędzy! Pod moim domem ma być ten Armagedon. Gwałtownie odwróciłem się, ale domu mego już nie było. Za to dudnienie nasilało się.

Nie uwierzycie co ja ujrzałem.

Dinozaur wielki jak diabli wyszedł na mnie. To już koniec, myślę sobie. Zamknąłem oczy i czekałem. Zaraz, zaraz. Skoro dinozaur to pewnie Spielberg kręci kolejną część swej sagi o dinozaurach.

Ucieszyłem się, że tak szybko udało mi się zracjonalizować niecodzienną sytuację.

Rozglądałem się wokół w poszukiwaniu ekipy filmowej, ale gównie nikogo nie ma. Bestia jest już przy mnie. Zawróciłem w swoim racjonalnym myśleniu i dopadł mnie przeraźliwy, wydobywający się z trzewi lęk i towarzysząca mu myśl: CZŁOWIEKU, ODRZUC W CHOLERĘ SWÓJ SCJENTYZM I ZACZNIJ CZUĆ, BOWIEM TO OSTATNIA CHWILA TWEGO ŻYCIA.

Odrzuciłem głowę do tyłu i odważnie spojrzałem bestii o siedmiu głowach w ślepią. Tym razem skarciłem się sam. Bestia wcale nie miała siedmiu głów, tylko jedną. Na dodatek oczka miała takie cudne, niewinne, że wzruszyłem się. Aż łza zakręciła mi się w oku. Dinozaur też się chyba wzruszył, bo polizał mnie przyjaźnie po moim nieogolonym pysku. Nad nami przeleciał, radośnie machając skrzydłami, pterodaktyl. Był wielkości samolotu bombardującego sił NATO.

Na koniec zza drzew wyszła ONA.

To razem z nią będę ratować świat.

Mam takie przekonanie, że Prawda o naturze świata i miejscu w nim człowieka leży na pograniczu Fizyki, Antropologii i Socjologii. Literatura miała i wciąż ma największe szanse aby dotrzeć do ogniska krzyżujących się nauk. Być może uda się komuś być doskonałym w tych trzech dziedzinach, a wtedy pozna Prawdę. Bo wciąż wierzę, że jest jedna i możliwa do poznania.

Mariusz Sykut